

# Bartnicki, Lechosław

---

## Wspomnienia brata

---

Rocznik Mazowiecki 17, 19-21

---

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Lechosław Bartnicki

## Wspomnienia brata

**B**ył pogodny, czerwcowy dzień 1933 roku. Dla mnie, kilkuletniego wówczas chłopca, niezrozumiała była pełna niepokoju atmosfera, jaka panowała w tym dniu w naszym dworku w Raczynie. W pokoju stołowym Ojciec przechadzał się nerwowo, rozmawiając z panem doktorem z Wielunia o czymś, czego nie mogłem zrozumieć. Ale jedno z tych rozmów docierało do mnie wyraźnie – Mama była chora.

W pewnym momencie z pokoju sypialnego usłyszałem krzyk dziecka. Tego dnia urodził się Andrzej. Od pierwszych lat życia chował się dobrze, nie było z nim też nigdy żadnych kłopotów zdrowotnych i wychowawczych. Jednak zauważyłem już wówczas, że w pewien sposób lubił samotność. Byłem ciekaw, nad czym się tak często zamyśla. Lubił niekiedy chować się przed wszystkimi i bywało nieraz, że ja i nasza młodsza siostra, Barbara, wyciągaliśmy go nawet z psiej budy. Andrzej lubił zwierzęta, a nade wszystko psy, które też go bardzo lubiły. Nasza Matka, z zawodu nauczycielka (wówczas nie pracowała w szkole), od pierwszych dni wyróżniała Andrzeja, po prostu był jej ulubieńcem. Dzięki Mamie Andrzej zaczął bardzo wcześnie czytać i jako małe dziecko przejawiać dużą ciekawość świata. Czasem wychodziliśmy we dwóch na drogę prowadzącą do Wielunia i wypatrywaliśmy Mamy, która bryczką wracała z miasta. Zawsze wtedy zaopatrzona była w nowe czasopisma i książki, w tym również odpowiednie dla naszego wieku. Niekiedy – ku naszej niebywalej radości – byliśmy zabierani przez Rodziców do Wielunia. Po drodze objaśniałem młodszemu Bratu, że zobaczy bibliotekę, skąd Mama wypożycza książki. Największy nasz podziw wzbudzała przede wszystkim ilość zgromadzonych tam książek i niezwykle poważna atmosfera. W pamięci pozostały mi słowa małego Andrzeja, z przejściem wypowiedziane do mnie szeptem „...cicho tu jak w kościele”.

W bibliotece wieluńskiej pracowała i panowała nad wszystkim panna Wolska bardzo zaprzyjaźniona z naszą Mamą. Pojawia się ona w moich wspomnieniach przede wszystkim jako córka pana Wolskiego, właściciela największego w Wieluniu sklepu kolonialnego (tak wówczas nazywano sklepy spożywcze). U niego Mama zaopatrywała się w rozmaite wiktuały, między innymi w słodycze, które

Andrzej bardzo lubił. Ten sklep poza biblioteką był drugim w Wieluniu miejscem, które tak uatrakcyjniało nasze wyprawy do wielkiego – jak nam się wówczas wydawało – miasta.

Lata naszego dzieciństwa w Racynie były dla całej rodziny bardzo szczęśliwe i czas taki nigdy się już więcej nie powtórzył. Były serdeczne, częste spotkania rodzinne, a także towarzyskie. Już nigdy potem nie przeżywaliliśmy takiej radości, jak wówczas, kiedy przychodziły listy opisujące aktualne wydarzenia i losy bliskich nam osób. To było wówczas niemalże święto. Andrzej był bardzo wrażliwy i chłonał tę serdeczną, rodzinną atmosferę całą duszą.

Pod koniec lat trzydziestych rodzina nasza przeniosła się na Mazowsze, do Zawidza-Malego w powiecie sierpeckim. Dla Andrzeja był to ważny okres w życiu, gdyż wtedy zaczął on swoją edukację, najpierw uczyła go nasza Mama, później został zapisany do szkoły powszechnej w Zawidzu Kościelnym. Nasz kontakt uległ nieco rozluźnieniu, gdyż ja uczęszczałem do innej szkoły – do ekskluzywnego gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki w Płocku i do domu przyjeżdżałem tylko na wakacje i święta. W tym czasie rodzina nasza powiększyła się – na świat przyszła nasza siostra, Lucyna. Teraz na Andrzeja przyszła kolej pełnienia funkcji starszego brata.

W latach wojny, kiedy sierpeckie znalazło się w granicach Rzeszy niemieckiej i nie było tam polskich szkół, edukacją Andrzeja zajęła się ponownie Mama i chyba robiła to bardzo dobrze, gdyż po wojnie Andrzej mógł od razu rozpocząć normalną naukę w szkole (dziś już nie pamiętam – w czwartej czy piątej klasie). Po ukończeniu szkoły powszechnej w Zawidzu Kościelnym uczył się dalej w gimnazjum w Sierpcu i tu uzyskał maturę. Ja w tych latach już studiowałem prawo na Uniwersytecie Warszawskim, pracując jednocześnie jako asystent znakomitego warszawskiego adwokata, doktora Józefa Piwowara. Wspominam tu osobę doktora Piwowara z szacunkiem i wdzięcznością przede wszystkim dlatego, że wpłynął on życzliwie w istotny sposób na losy Andrzeja.

Po maturze Andrzeja Rodzice zwrócili się do mnie z prośbą o radę, co począć z dalszą nauką mojego młodszego Brata. Ja z rozmów i dyskusji z Nim wiedziałem, że interesuje Go historia. Miło było mi słyszeć, jak nasi sąsiedzi mówili „Jędrus tak ładnie opowiada historię”. Powiedziałem więc Rodzicom, że Jędrus powinien studiować na wydziale historii, najlepiej w Uniwersytecie Warszawskim, że będzie mógł zamieszkać w akademiku, a najważniejsze, że będzie blisko mnie. Oczywiście było przecież, że zawsze będzie miał we mnie oparcie. Andrzej przyjął naszą wspólną decyzję z radością, zdał dobrze egzaminy, ale ku naszej rozpaczce na studia nie został przyjęty. Okazało się później, że jedyną – ale w owych czasach jakże poważną – przeszkodą było to, że nasz Ojciec został zaliczony do kategorii „obszarników”, których posiadłości zostały rozparcelowane. W następnym roku sprawa wyglądała identycznie – Andrzej egzaminy zdał dobrze, ale na studia znów nie został przyjęty. Nie wiedzieliśmy, co robić. I wtedy z pomocą przyszedł pan doktor Piwowar. Powiedział do mnie: „Kolego, jedyną drogą dostania się brata na studia jest uprzednia jego praca w Zarządzie Głównym Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ja tam jestem radcą prawnym i pracę bratu załatwię”. Tak się też stało. Przez ten rok Andrzej pracował w ZG ZNP i mieszkał razem z nami

(moją żoną, Renią, i naszym małym synkiem, Jurkiem) w pokoiku z kuchnią w Fa-  
lenicy. Był to dla nas, braci, bardzo dobry okres w naszym życiu, kiedy cały rok  
byliśmy tak serdecznie i blisko siebie.

Później niestety życie zawodowe każdego z nas, obowiązki, wyjazdy Andrze-  
ja do Stanów Zjednoczonych, wszystko to powodowało, że kontakty z natury  
rzeczy stały się coraz rzadsze. Jak wspomniałem, Andrzej dużo zawdzięczał naszej  
Matce, ale to po Ojcu odziedziczył wielki dar – ten cudowny entuzjazm i radość  
życia, które były Mu niezwykle pomocne w rozmaitych trudnych okolicznościach.

Z okrucichów wspomnień o Andrzeju sprzed lat wyłaniają mi się przede wszyst-  
kim te najbardziej rodzinne fragmenty życia – z Nim związane. Całe Jego życie  
zawodowe, publiczne opisali i opisują przyjaciele i koledzy. Jestem dumny z me-  
go Brata, z jego osiągnięć, ze stylu życia i wielkiej prawości. W ostatnich latach  
Andrzej coraz częściej w rozmowach ze mną wracał do wspomnień rodzinnych.  
Widziałem u niego początki zmęczenia, chęć odpoczynku po ogromie pracy nau-  
kowej i społecznej. Z listu ze Stanów Zjednoczonych z 26 listopada 1991 roku,  
zawierającego dla mnie życzenia imieninowe przytoczę fragment:

Mam sporo zajęć dydaktycznych. Moje zajęcia na drugi semestr zostały wypełnione jako  
pierwsze na całym Wydziale, a tu podobno jest to najlepszy sprawdzian popularności  
profesora. [...] O Polsce tutaj właściwie się nie pisze. To, co dochodzi, jest smutne. W na-  
szym wieku trzeba chyba jednak przestać myśleć o sprawach wielkich, a przede wszyst-  
kim dbać o zdrowie.

Snuliśmy piękne plany wspólnych wyjazdów w strony rodzinne. Andrzej bar-  
dzo pragnął odetchnąć atmosferą lat dzieciennych, być może chciał spotkać się  
z którymś z żyjących jeszcze sąsiadów i porozmawiać o czasach, kiedy Jędrus  
„opowiadał pięknie historię”. Ostatecznie ustaliliśmy, że najpierw (7 lutego 2004)  
wyjedziemy razem na urlop na Wyspy Kanaryjskie. Bilety lotnicze zostały wyku-  
pione. Cieszyliśmy się, że nareszcie będziemy mieli czas dla siebie. Nikt nie przy-  
puszczał jednak wtedy, że już 16 marca 2004 roku zabierze nam Andrzeja śmierć.

Czas zaciera i łagodzi wszystkie smutne przeżycia, ale nie mogę zapomnieć  
słów mojego Brata powiedzianych w ostatniej naszej rozmowie telefonicznej. Gdy  
napomknąłem coś o jego trudnym i pracowitym życiu, odpowiedział mi po pro-  
stu „...ale to było piękne życie”.